# DIAMENTOWY SZLAK



iwona gajda

*Książkę dedykuję mojemu mężowi, który sprawia, że nasze życie ma wyjątkowy, wspaniały smak.*

# DIAMENTOWY SZLAK



iwona gajda

© Copyright by
BPC GROUP POLAND Sp. z o.o.
Katowice 2020

Opracowanie graficzne/skład: Aleksandra Siwek
Redakcja: BPC GROUP POLAND Sp. z o.o.

**ISBN: 978-83-959883-1-8**

Niniejszy utwór stanowi wytwór wyobraźni autora,
a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych
i wydarzeń jest całkowicie przypadkowe.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji
nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą
urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących,
nagrywających czy innych, bez uprzedniego wyrażenia
zgody przez właściciela praw.

www.bpc–group.pl
www.bpc–guide.pl



*Diamenty to chwile niezniszczalne, które na zawsze pozostają w naszych sercach. I choć życie kreśli różne scenariusze, nie pozwolimy ich tknąć. Są naszą własnością, najdroższym skarbem. To dzięki nim poznajemy prawdziwą wartość życia i śnimy na jawie. A w chwilach zwątpienia, to właśnie one pozwalają dojrzeć sens.*

*I to nieprawda, że wszystko mija. Bo przecież, w głębinach duszy jest świat, który żyje własnym życiem. A my wciąż do niego zaglądamy i co jakiś czas dorzucamy kolejny drogocenny kamień. Niektórzy ten świat nazywają szczęściem.*

# Lizbona



Bo jeśli pragnę zobaczę znów
Twoje oczy i uśmiech Twój

*Cyt. Kamienny Las, Bajm*



# Fado

Była dziesiąta wieczorem. Leonardo usiadł nieopodal Pomnika Odkrywców i wpatrywał się w ujście rzeki Tag. Po raz kolejny próbował odnaleźć siebie. Znał już każdy szczegół nadbrzeża i każdą nierówność na betonowym deptaku. Od kilku dni przychodził w to miejsce. Czekał. Na co? Sam nie wiedział. Odkąd Carla z nim zerwała, nic nie było jak dawniej. Ani jego życie, ani jego serce. Ten wieczór był wyjątkowo ciepły i melancholijny. Tuż za jego plecami fadistka śpiewała o nieodwzajemnionej miłości. Jej wibrujący i pełen emocji głos rozrywał jego serce. A on spijał każdy dźwięk niczym narkotyk, który łagodzi ból i zadaje go jednocześnie.

Spojrzał na turystów. Szerokim deptakiem

przemieszczali się w różne strony. Chodzili pomiędzy Klasztorem Hieronimitów a Wieżą Belem.
–Oba zabytki to perły architektoniczne stylu manuelińskiego – pomyślał – obowiązkowe punkty zwiedzania. Jednak dla niego prawdziwym diamentem był olbrzymi Pomnik Odkrywców. I to nic, że zbudowany kilkadziesiąt lat temu. I nic, że z betonu. Ważne, że mówił o innym świecie. Takim, który gdzieś jest i czeka.

–Zamawiałeś Porto – głos kelnerki dochodzący z oddali wyrwał go nagle z głębokiej zadumy.
–Ach tak – wstał i podszedł do niej – Przepraszam, zamyśliłem się.
–Jak każdy przy tej nostalgicznej muzyce – powiedziała, podając mu wino.
–Taki już urok *fado* – odparł – wystarczy noc, gwiazdy i już odpływamy na koniec świata.
–Też o tym marzę – uśmiechnęła się młoda dziewczyna.
–Chciałabyś popłynąć na koniec świata? – spojrzał na nią.
–Tak, nawet jutro. Jestem Katherine – powiedziała pewnym głosem – jak będziesz kompletował załogę, to pamiętaj o mnie. Niestety teraz muszę

wracać do klientów.

Leonardo wypił łyk porto i znowu usiadł na betonowym nabrzeżu. Postać Henryka Żeglarza przykuła jego uwagę. Stał na dziobie statku Pomnika Odkrywców. Z karawelą w ręku wyglądał tak, jakby planował nową ekspedycję.

–Oddałbym wszystko – westchnął – aby z braćmi Zakonu Rycerzy Chrystusa odkrywać lądy i zakładać kolonie. Vasco da Gama – pomyślał. – Czy chciałbym z nim popłynąć?



–Przepraszam, to Twoje? – odwrócił głowę, jakiś chłopak trzymał w rękach jego teczkę z projektami.
–Leżała na deptaku i ludzie po niej chodzili – powiedział.
–Tak, dzięki – wstał i obejrzał szkice wewnątrz. Nie były pogniecione, więc odetchnął z ulgą. Tym razem położył ją na kolanach i przytrzymał rękami. I znowu przeniósł się w czasie.
–Może usiądziesz w kawiarence? – Katherine przechodziła z pustymi szklankami i zatrzymała



się przy nim na chwilę. Jest już dwunasta, niebawem Gulia skończy koncert – mówiła – a to jedna z najlepszych fadistek w Portugalii. Szkoda zmarnować taką okazję.

Spojrzał w stronę kawiarenki. Dopiero teraz zauważył, że na trawie i deptaku jest mnóstwo ludzi. Siedzą na krzesłach lub stoją. Niemal wszyscy zanurzeni w melancholijnym nastroju, słuchają muzyki *fado*. Podszedł bliżej. Ustawił się pod drzewem, z boku sceny. Rzucił okiem na dwóch gitarzystów, a potem zatopił wzrok w fadistce. Pochłonięta śpiewem, zdawała się nie dostrzegać publiczności. Próbował odgadnąć jej wiek. Trzydzieści? Trzydzieści pięć?



Spojrzał na jej długie, czarne włosy i ciemne oczy. Potem objął wzrokiem jej ramiona, talię, biodra i nogi.

–Jest piękna – pomyślał – W tej wąskiej, brązowej sukni, która niczym welon oplata ją z góry do dołu, wygląda tajemniczo.
A ona śpiewała o marzeniach. O tym, że są i próbuje je dogonić. A te uciekają. Jak ptaki, które szukają wolności i nie pozwalają się pochwycić. Bo ich miejsce jest wysoko, w przestworzach. Dlatego serce jest wieczną tęsknotą i nie potrafi odnaleźć się w tym normalnym świecie. W pewnej chwili odwróciła głowę i spojrzała na Leonarda. Poczuł, jak przeszedł go dreszcz. Zawstydził się i spuścił wzrok. Miał wrażenie, że splotły się ich emocje i od tej chwili są już razem. Ona śpiewała, co jakiś czas spoglądając w jego stronę. A on stał obok ze spuszczoną głową i tylko ściskał w dłoniach czarną teczkę. Od czasu do czasu spoglądał na nią, coraz dłużej zatrzymywał wzrok.

–Jak masz na imię? – zapytała, podchodząc do niego po koncercie.
–Leonardo. Piękna muzyka – odpowiedział.
–Tworzona przez ludzi biednych, złodziei i

prostytutki, dlatego jest taka prawdziwa – dodała, spoglądając na niego.

–I smutna jak los człowieka – odparł. – Każdy tęskni za jakimś światem, którego nie ma.

–Za jakim światem tęsknisz? – zapytała.

–Szczęśliwym, bezpiecznym, bez wojen – zaczął wymieniać.

–Szczęście jest stanem umysłu. Możesz je znaleźć wszędzie albo nigdzie. A jeśli chodzi o wojny – popatrzyła na rzekę i wstrzymała na chwilę głos – jest to niewykonalne.

–Aby ich nie było?

–Tak. Ludzie nie są tacy sami i wciąż prowokują konflikty. Walczą o wpływy i nigdy nie przestaną, dopóty trwa świat.

–Dlaczego tu grasz? – zapytał Leonardo.

–A nie na prestiżowej scenie? – spojrzała na niego.

–Tak.

–To kawiarenka mojego ojca. Wkrótce będę grać także na wielkich scenach, zaczynam trasę koncertową po Portugali. Ma tytuł *Diamentowym Szlakiem*. A Ty, czym się zajmujesz? – zmieniła temat.

–Kilka miesięcy temu skończyłem studia w Barcelonie. Teraz jeżdżę po świecie i nie umiem się pozbierać, po tym jak rzuciła mnie dziewczyna.

Byłem we Francji, we Włoszech, a dwa tygodnie temu przyjechałem do Lizbony.
–Co skończyłeś?
–Filologię, ale tak naprawdę interesuje mnie architektura, więc szkicuje różne projekty.
–Długo byliście razem? – popatrzyła na niego uważnie.
–2 lata.
–Pozbierasz się wkrótce, jesteś młody – westchnęła.
–Może. – uśmiechnął się smutno. – Teraz przychodzę tu wieczorami, wpatruję się w Tag i myślę o podróży na koniec świata.

Gulia odwróciła głowę, analizując coś w myślach. W końcu sięgnęła po torebkę i wyciągnęła z niej kartkę i długopis.



–To mój numer telefonu – powiedziała – Daj znać, gdybyś chciał pojechać z nami na tournée. Teraz muszę już iść do syna. Czeka na mnie u rodziców. Jeszcze raz popatrzyła na niego i wróciła do kawiarenki.

Chwilę chodził wybrzeżem, a potem spojrzał na Katherine. Ustawiała krzesła, które turyści poprzekładali w różne miejsca.
–Może wybierzemy się jutro na spacer po Lizbonie? – zaproponował, podchodząc do niej.
–I poszukamy statku, którym popłyniemy na koniec świata? – zapytała, uśmiechając się.
–Tak.
–No to o dziesiątej przy Elevador de Santa Justa – odparła i wróciła do układania krzeseł.

Nazajutrz wstąpił do hotelu Myriad, aby przekazać Alfonso szkice.
–Doskonałe – zachwycił się, przekładając kartki. – przydadzą się.
–Mam dla Ciebie wynagrodzenie za ostatni projekt – powiedział. – 5 tysięcy dolarów.
–Super – ucieszył się Leonardo.
Schował kopertę i szybkim krokiem ruszył w kierunku dzielnicy Baixe. Katherine czekała pod zabytkową windą. Ledwie ją poznał.
Miała niebieskie włosy, które zmieniły wygląd jej twarzy. Wydawała się teraz bardziej szczupła i poważna, co w sumie zaskoczyło Leonarda. Po niebieskim kolorze spodziewałby się raczej odmłodzenia wyglądu.



–Wsiadamy – kiwnęła w jego kierunku. – Popatrzymy z góry na Lizbonę, a później zwiedzimy Alfamę, najstarszą dzielnicę miasta.

–Winda została zaprojektowana przez ucznia Gustawa Eiffla – powiedział, gdy stali wewnątrz.

–Skąd wiesz?

–Interesuję się architekturą. Wieża ma 45 metrów wysokości. Gdy uruchomiono ją w 1902 roku była napędzana parą wodną. Dopiero po pięciu latach zastosowano silniki elektryczne.
–No, no – uśmiechnęła się Katherine. – Twoja wiedza może się dzisiaj przydać.
Stanęli na tarasie widokowym i spojrzeli na panoramę miasta, jednak Leonardo, co chwilę odwracał głowę w stronę Katherine.
–Dlaczego mi się tak przyglądasz? – zapytała w końcu.



–Masz ładne włosy – uśmiechnął się. – Takie niebieskie, awangardowe.
–Wczoraj wieczorem zmieniłam fryzurę i to moje pierwsze odkrycie. Podobam Ci się, czy interesujesz się fryzjerstwem? – zażartowała.
–Szukam kandydatki na żonę.
–Wymyśliłeś sobie jakieś kryteria? Ułożyłeś listę pytań? Może przejdziemy przez to szybciej – zaproponowała.
–Ok. Czy masz patent żeglarski?
–Mam, przecież mówiłam Ci, że chcę płynąć na koniec świata.



–Czy lubisz dzieci?
–Tylko dwoje.
–A co z jedzeniem? Gotujesz czy preferujesz restauracje?
–I tak, i tak. Ale teraz moja kolej, ja też mam pytania – obruszyła się.
–Pytaj, więc.
–Wiek?
–28 lat.
–Pracujesz gdzieś?
–Nie mam stałej pracy. Żyję z tego, co wpadnie.
–Dlaczego tak?
–Lubię projektować, robić plany architektoniczne, ale nie mam w tym kierunku wykształcenia.
Nie chcę tracić czasu na coś innego i dlatego od trzech lat tkwię w martwym punkcie.
–Masz dziewczynę?
–Miałem. Byliśmy ze sobą przez dwa lata. Zerwała ze mną pół roku temu.
–Dlaczego?
–Wymykałem się spod jej kontroli i nie mogła tego znieść.
–Bo miałeś inne?
–Nie, bo wciąż chodziłem z głową w chmurach. Tymczasem ona podchodziła do życia w sposób bardzo pragmatyczny. Z czasem ten związek

zaczął nas wyniszczać. Zbyt dużo huśtawek emocjonalnych. A ty? Masz kogoś? – spojrzał znowu na nią.

–Nie.

–Dlaczego?

–Nie spotkałam nikogo, kto chciałby popłynąć na koniec świata.

–No to chodźmy – powiedział Leonardo. – Może znajdziemy dzisiaj jakiś fajny statek.

Spacerowali powoli Rua Agusta, głównym deptakiem dzielnicy. Oglądali witryny drogich sklepów, a także dzieła przydrożnych artystów. Zatrzymywali się przy grajkach, żonglerach i mimach. Potem zwiedzili Zamek św. Jerzego i Katedrę Se.



–Spójrz na tę budowlę – Leonardo zatrzymał się przy fasadzie jednego z domów. – To styl architektoniczny Pombaline.
–A cóż to takiego? – zapytała Katherine.
–W 1755 roku Lizbona została zupełnie zniszczona. Było potężne trzęsienie ziemi, 9 stopni w skali Richtera. Podobno najtragiczniejsze w historii ludzkości. Po nim nadeszło tsunami, którego fale miały wysokość ponad 20 metrów. Tam, gdzie morze nie dotarło, wybuchły pożary.
–Nic nie zostało?
–Prakycznie nic. Odbudową zajął się Markiz de Pombal. Stworzył innowacyjne rozwiązania architektoniczne, projektowane z myślą o zagrożeniach sejsmicznych i pożarowych.
Gdy doszli do Łuku Triumfalnego, Leonardo wskazał na jedną z dziewięciu potężnych postaci tam wyrzeźbionych.
–To Vasco da Gama – powiedział z dumą. – Największy z żeglarzy.
–Wolałbyś z nim popłynąć, czy ze mną? – spojrzała na niego kokieteryjnie.
Leonardo uniósł nieco głowę i zmrużył oczy.
–Z pierwszej wyprawy do Indii wrócił po ośmiu latach jedynie z garstką załogi, resztę wyniszczyły sztormy, bunty i szkorbut. W trakcie drugiej był

już *Admirałem Mórz Indyjskich* i płynął na czele ośmiuset ludzi. Wtedy grabił i zabijał. Dlatego wychodzi - z lekkim uśmieszkiem spojrzał na Katerine - że chyba z tobą. To był wspaniały dzień. Ulice tonęły w słońcu, a oni objęci spacerowali z głowami w chmurach. Miał wrażenie, że życie znowu zaczyna się układać.

–Wierzysz w przeznaczenie? – zapytał, gdy przechadzali się ulicami dzielnicy Mouraria.

–*Fado* oznacza los, przeznaczenie – powiedziała Katherine. – Ta muzyka powstała właśnie tutaj, w biednych, portowych dzielnicach. Popatrz na te schody z szerokim podestem. Tutaj mieszkała Maria Severa, pierwsza sławna pieśniarka. Była kurtyzaną.



–Kurtyzaną? – powtórzył.
–Od 12 roku życia zajmowała się prostytucją. Potem uwiodła jakiegoś hrabiego, co było wielkim skandalem, ale i magnesem. Ludzie przychodzili ją zobaczyć i słuchać.
–Ale chyba dobrze śpiewała, skoro przypisują jej początki muzyki *fado*.
–No tak – potwierdziła Katherine. – Podobno teatralnie, głosem pełnym bólu i lamentu. Przerywała co chwilę płaczliwymi westchnieniami. Śpiewając kołysała biodrami i stepowała, uderzając piętami o podłogę.
–Był ktoś od niej lepszy?
–Amalia Rodrigues. To ona nazywana jest królową *fado*. Mówiła, że muzyka *fado* przychodzi z bezkresnego morza:
„*Rodzi się z żalu i cierpienia nad losem żeglarzy, którzy odpłynęli bezpowrotnie*".

Na Mourarii oglądali małe, kolorowe domki z mieszkaniami o powierzchni 20 m kwadratowych. Zachwycali się portretami mieszkańców na murach kamienic. Gdy słońce zaczynało już zachodzić, skierowali się w stronę wybrzeża.
–Długo zamierzasz być w Lizbonie? – zapytał Leonardo.






Cheira Bem



–Do końca wakacji. We wrześniu otwierają nową klinikę pediatryczną w Madrycie i zaczynam tam pracę jako pielęgniarka.
–Chcesz być pielęgniarką? – spojrzał na nią.
–Szczerze mówiąc, to nie. Męczy mnie ta praca. Kiedyś widziałam w tym zawodzie pewną szlachetność, altruizm czy bezinteresowność. Dzisiaj nie daje mi satysfakcji. Niektórzy pacjenci są wiecznie niezadowoleni, a nawet aroganccy. Podobnie zresztą, jak ich rodziny.
–Zamierzasz ją zmienić?
–Tak. Studiuję zaocznie dziennikarstwo. Zaczęłam trzeci semestr. Katherine spojrzała w dół na labirynt wąskich uliczek, które kaskadowo opadały w stronę Tagu.
–Fajnie, że zaproponowałeś mi ten spacer – powiedziała. – Jestem w Lizbonie od trzech tygodni, a prawdę mówiąc jeszcze nigdzie nie byłam. Od rana do późnej nocy pracuję w kawiarni. Nawet nie sądziłam, że szef zgodzi się na dwa dni urlopu.
–Mam plan – powiedział nagle Leonardo. – Zjemy coś, a potem poszukamy łodzi.
–Żeby ją ukraść i wyruszyć w podróż na koniec świata? – roześmiała się Katherine.
–Dokładnie tak.

Usiedli w ogrodzie klimatycznej kawiarenki. Kwitnące jacarandy, kilka stolików i muzyka *fado* w tle – tego właśnie potrzebowali.
Do ośmiornicy z ziemniakami zamówili ginghję o smaku czereśniowym.
–Czy one płaczą, gdy śpiewają? – zapytał Leonardo.
–Niektóre tak. Widziałam, jak zamykają oczy, a spod nich płyną łzy. Myślę, że jest to muzyka, którą trzeba przeżywać, bo wypływa z wnętrza jak marzenia i uczucia.



Portugalczycy wiążą *fado* z *saudade* – tłumaczyła Katherine. – To taki stan emocjonalny, który mówi o tęsknocie za czymś utraconym, czego nigdy się nie osiągnęło. W żadnym innym języku nie istnieje słowo, które opisuje takie uczucie. Jest w nim smutek, radość i nostalgia jednocześnie.

Z każdą minutą na dworze robiło się coraz ciemniej. Elektryczne światła latarni i witryn sklepowych dodawały magii ulicom. Oni zaś siedzieli sami, ukryci w małym ogrodzie otoczonym kwiatami. Z głośników rozbrzmiewała pełna melancholii muzyka. Otumanieni miejscowym trunkiem i romantyczną atmosferą, poddali się zupełnie urokowi chwili.



Zaczęli tańczyć w ogrodzie, drepcząc powoli na małym kawałku trawy. Zegar wskazywał drugą w nocy, kiedy chodzili po wybrzeżu i rozmawiali o tym, co możnaby zobaczyć na końcu świata.

Leonardo trzymał w dłoni otwartą butelkę szampana. Co chwilę zatrzymywali się, aby wypić łyk i wznieść kolejny toast.

–Za nas, po raz piąty – podnieśli razem butelkę.

–A teraz za *fado*! – krzyknął Leonardo.

Chwilę potem oglądał kolejny jacht motorowy przycumowany w porcie.

–Ten będzie dobry – powiedział. – Zobacz, jaki nowoczesny design.

Oboje stanęli na kamiennym nabrzeżu i patrzyli na jego zgrabną sylwetkę. Wkrótce potem weszli na wąską kładkę, do której przycumowane były jachty.

–Wygląda wspaniale – powiedziała Katherine. – Kiedyś kierowałam podobnym. Miał wygodną sterówkę i prostą w obsłudze konsolę.

–Pewnie ma też rewelacyjne osiągi – stwierdził Leonardo, po czym wszedł na pokład.

–No co Ty – przestraszyła się. – Wariat jesteś!

–Wezmę Cię, kochanie na koniec świata – mówił rozbawiony i pobudzony trunkiem.

Poruszył drzwi kabiny, były otwarte.

–Nie uwierzysz! Możemy płynąć!

–Leonardo, nie wygłupiaj się. – powiedziała Katherine i weszła za nim – To wymaga specjalnych uprawnień.

–Mam je – uśmiechnął się i zaczął oglądać konsolę.

–To kradzież.
–Pożyczymy tylko.



Wbiegł na mostek i odcumował jacht. Szybko wrócił do kabiny i uruchomił silnik. Chwilkę potem wypływali już z portu. Kiedy minęli Wieżę Belem, dodał gazu i przyspieszył.
–Płyniemy! – krzyknął do Katherine.
–Na koniec świata? – zapytała.
–Jeszcze nie dziś. Na razie do Carcavelos Beach, gdzie jest mój hotel. Tam zostawimy jacht.
Katherine spojrzała w niebo.
–Jest pięknie – powiedziała i pocałowała Leonarda w policzek.
Gdy byli już na wysokości plaży, Leonardo zaczął nagle panicznie naciskać różne przyciski na konsoli.

–Co się stało? – zapytała przestraszona Katherine.
–Wysiadł system elektroniki pokładowej, nie mam kontroli na jachtem – mówił chaotycznie. – Szukaj kamizelek!
Katherine nerwowo rozglądała się po kabinie. Zauważyła kamizelki. Nie zdążyła jednak ich pochwycić, kiedy jacht nagle skręcił mocno w prawo. Uderzył w molo, a potem sunął po piasku przez kilkadziesiąt metrów ocierając się o betonowe słupy i kamienie. Oboje mocno trzymali się uchwytów wewnątrz kabiny, jednak siła odrzutu była tak duża, że przewrócili się na podłogę. Głośny, metaliczny dźwięk rozniósł się po plaży i okolicy. Dopiero wtedy jacht się zatrzymał. Leonardo spojrzał na Katherine. Trzymała ręką lewe ramię.
–Złamane? – zapytał, podchodząc bliżej. Ruszyła ręką.
–Chyba nie – odparła.
–Uciekajmy stąd – powiedział.

# Wilki



Życie to tylko chwila, kochanie
Nie zatrzymasz jej (…) by przeżyć taką
chwilę warto czekać wiek

*Cyt. Plama na ścianie, Bajm*



# Alaska

To był piękny, bezchmurny dzień. Pokryte śniegiem zbocza gór Alaska błyszczały w słońcu. Mount McKinley, najwyższy szczyt, niczym diament wynurzał się spod powierzchni ziemi.

Wataha wilków podążała doliną lodowcową pomiędzy stromymi ścianami skał. Wilki posuwały się ostrożnie i powoli. Jeden za drugim, według ustalonej wcześniej kolejności. Drogę w śniegu torował Vox, ojciec, a tym samym przywódca grupy. Tuż za nim ustawiła się Ksea, wilczyca–matka, po śladach której przesuwały się cztery szczenięta. Kolumnę zamykało 5 starszych wilków z poprzednich miotów.
Gdy weszły w strefę tundry zaczął padać śnieg.

Wilki nieco przyspieszyły kroku, lecz nadal trzymały szyk. Po kilku godzinach dotarły na leśną polanę ukrytą pomiędzy drzewami.
–Sprawdź, czy nie ma intruzów – polecił Parysowi ojciec.
Młody wilk natychmiast oddalił się od stada i zaczął penetrować pobliski teren. Gdy zniknął za kępką drzew rozejrzał się wokół i usiadł. Chwilę nasłuchiwał, po czym wszedł do lasu. Tam, w pełnym skupieniu zaczął obwąchiwać trawę, leśną ściółkę i korę. Wszystkie czynności wykonywał rutynowo, bo jego myśli zaprzątały zupełnie inne sprawy. Za kilka dni miał odejść ze stada i założyć własną watahę.

–Nad jeziorem *Wonder* spotkasz partnerkę swojego życia – mówił ojciec. – Urodzą się wam dzieci, zostaniesz alfą, będziesz kierował własnym stadem.
–A jeśli nie znajdę? – pytał
–Przestań tyle myśleć – uspokajał ojciec. – Wszystko się ułoży.

Szedł, więc z watahą nad jezioro *Wonder* i godzinami rozmyślał o tym, kogo spotka. Każdego roku. o tej porze, przybywało tam kilkanaście

watah, aby połączyć wilcze pary. Młodym wilkom przekazywano wiedzę, o tym jak wychowywać szczeniaki. Najmniejsze uczono wyć i polować. Wieczorami watahy konkurowały ze sobą, która z nich wydobędzie najlepszy dźwięk wyjąc do księżyca.

Mocny podmuch wiatru wyrwał Parysa z głębokiej zadumy. Ostatni raz rozejrzał się po lesie i wrócił na leśną polanę.

–Nie ma intruzów – powiedział ojcu. – Znalazłem jedynie odchody jeleniowatych.

–To dobrze – ucieszył się Vox. – Jutro będziemy polować.



–Nie możemy czekać – wtrąciła się wadera. – Szczenięta są głodne. Od dwóch dni nic nie jadły. Jeśli chcesz, aby jutro trenowały musisz zdobyć jedzenie. Alfa wstał i zaczął nerwowo chodzić wokół legowiska.

–W takim razie pójdę sam – stwierdził w końcu.

–To niebezpieczne – próbował powstrzymać go Parys. – Wnyki mogą być ukryte pomiędzy gałęziami. Wczoraj Kars dostrzegł traperów, którzy ustawiali je wzdłuż granicy parku.

–Dam wam znać – powiedział stanowczo Vox, nie dopuszczając innej opcji. – Jeśli nie wrócę do dwóch dni musicie ruszać dalej.



Zaraz po tych słowach zniknął w gęstwinie.
Parys położył się obok matki.
–Boisz się o niego? – zapytał, gdy na nią spojrzał.
Leżała z głową na kamieniu wpatrując się w las.
–Zawsze, gdy znika.
–Zazdroszczę Ci, że masz za kim tęsknić.
–Też będziesz miał. Nad jezioro przybędą samice, na pewno którąś wybierzesz. To już czas, abyś został alfą swojej watahy.
–A jak nie znajdę swojej wadery? – spojrzał na nią.
–Znajdziesz – odparła. – Jest luty, mamy okres godowy. W tym czasie wilki dobierają się w pary. Zajdziesz swoją wilczycę i wtedy wszystko się ułoży. Po sześćdziesięciu dwóch–czterech dniach będziecie mieć swoje małe szczenięta. A Twoje potomstwo będzie naturalnym przedłużeniem naszego gatunku.
Parys wstał i zębami przesunął gałąź, która leżała pod świerkiem. Potem łapami wygrzebał trochę ziemi i ulokował się bliżej matki. Ich ciepło przenikało poprzez sierść rozgrzewając nie tylko ciała, ale i serca.
–Będzie mi Ciebie brakowało – powiedziała.
–Czemu musze odejść? – popatrzył na las. – Dlaczego nie mogę żyć z wami?
–Żyjąc z nami musiałbyś przestrzegać hierarchii

w tej watasze. Nie byłbyś alfą. A jak wiesz, wysoki status w grupie oznacza pierwszeństwo rozrodu i dostępu do jedzenia.

–Do tej pory nie mieliśmy problemów ze zdobywaniem pożywienia – odparł Parys.

–To prawda. Ojciec pilnował rytmu wędrówek, dzięki czemu lepiej eksplorowaliśmy teren. Zimą mogliśmy spokojnie się przemieszczać, nawet o kilkadziesiąt kilometrów. Latem bez żadnych przeszkód osiadaliśmy na nowym terytorium, które miało kilkaset kilometrów.

Teraz wszystko się zmieni.

–Czyli to pewne? Trzeba stąd odejść? – Parys znowu spojrzał na matkę.

–Na Alasce zniesiono wszystkie prawa, które chroniły dzikie zwierzęta: wilki, kojoty, niedźwiedzie czy renifery. Teraz mogą zabijać matki z młodymi, wczołgiwać się do nor, strzelać z helikopterów i wybudzać hibernujące niedźwiedzie. Nie mamy wyjścia.

–Ale przecież *Denali National Park* to narodowy rezerwat.

–Prawo obejmuje również rezerwaty.

–Dlaczego oni tak zrobili?

–Chcą polować. Lubią zabijać, a nasze szczątki traktują jako trofea.

–Ale przecież wilki były na liście gatunków zagrożonych.
–Już nie są, wykreślono nas.

Słońce zaszło nad leśną polaną, a małe wilczki zasnęły po wyczerpującej podróży. Parys z matką leżeli pod wielkim świerkiem, coraz bardziej pogrążeni w smutku. Patrzyli przed siebie, zagubieni i przestraszeni jutrem. Jeśli nawet ucieczka na inne terytorium była ratunkiem, to i tak wiązała się z dużym ryzykiem. Wiatr delikatnie kołysał małe gałązki sosen, świerków i modrzewi. Zasnęli.

***

–Wuuuu, wuuuu – obudziło ich jednostajne wycie wilków. Po kilku sekundach nastąpiła przerwa, po czym dźwięk się powtórzył. Tym razem wycie było jednak dłuższe i znacznie głośniejsze.
–To ojciec – zerwał się Parys – wytropił zwierzynę. Jest kilka kilometrów stąd.
Cała wataha natychmiast powstała z miejsc.
–Idźcie – Ksea spojrzała na Parysa i cztery starsze wilki. – Ja z młodymi wyruszę za wami – dodała.

Parys z braćmi ruszyli w drogę. Biegli za głosem nawołującego ich ojca. Co pewien czas zatrzymywali się i wyli, informując go w ten sposób o swojej pozycji. Trasa wiodła stromym zboczem w górę poprzez iglaste lasy. Potem weszli na rozległy skalisty teren, który częściowo porastały płaty skarłowaciałych drzew *krummholz*, a częściowo krzewy. Tam powierzchnia była nierówna i w wielu miejsca zamarznięta. Rozejrzeli się wokół, próbując zlokalizować Voxa.



–Tam – krzyknął Parys, wskazując na bryłę skalną ukrytą pomiędzy dwoma rozłożystymi jodłami. Ojciec stał obok martwego łosia.

–To padlina – powiedział, gdy byli już blisko. – Leży tu przynajmniej dwa dni. Wilki spojrzały na skałę. Przypominała skocznię o śliskim rozbiegu, która wybija skoczka w górę. Najprawdopodobniej łoś poślizgnął się na jej grzbiecie, a potem spadł z wysoka na ostre kamienie.

Wilki pochyliły się nad zwierzęciem, aby powąchać mięso. W tej samej chwili usłyszały dziwne odgłosy dochodzące z lasu. Wszystkie wyprostowały się i podniosły uszy.

–To niedźwiedzie – szepnął Parys i spojrzał na ojca.

Vox wskoczył na skałę i dał znak pozostałym, aby ukryły się w pobliżu. Te przesunęły się nieznacznie w lewo i schowały za jodłami. On tymczasem powoli ruszył w stronę kamienia leżącego obok skoczni i tam przykucnął.

Kilka chwil potem tuż przed ich oczami pojawiło się pięć niedźwiedzi grizzly. Wszystkie potężne, ciemnobrązowe. Szły obok siebie, zupełnie nieświadome niebezpieczeństwa.

Vox dał znak. W jednym momencie wilki wybiegły z ukrycia i ruszyły do ataku. Przestraszone

niedźwiedzie zaczęły uciekać stromym zboczem w dół. Jeden z nich nadepnął na pokryty lodem ogromny, płaski kamień. Zjechał po nim, a następnie uderzył głową w wystający korzeń. Od tego momentu nie był w stanie biec już tak szybko, jak pozostałe. Wilki podążyły za nim. Zagoniły ofiarę w kierunku lasu. Tam otoczyły niedźwiedzia z różnych stron i zaczęły go kąsać, doprowadzając do osłabienia i wykrwawienia. Gdy niedźwiedź padł, Vox rzucił się na niego i podgryzł mu gardło. Chwilę potem wszystkie ustawiły się obok ciała i zaczęły wyć przywołując matkę ze szczeniętami. Długie i głośne 'wuuu, wuuu' – rozniosło się po lesie.

Kolejność jedzenia była następująca: Najpierw do zwierzęcia podszedł wilk alfa czyli ojciec. Gdy zaspokoił pierwszy głód, dopuścił do mięsa pozostałe wilki. Te urwały po kawałku i odsunęły się na bok, bo zobaczyły jak z lasu nadbiega wadera ze szczeniętami.
Po jedzeniu wszyscy zgromadzili się tuż przy skoczni.
–Podejdziesz do Jeziora *Wonder* i zorientujesz się kto przybył – polecił Parysowi ojciec. – Zwróć uwagę na pułapki zastawiane przez ludzi. Jest ich

coraz więcej. Zawyj, gdy będziemy mogli zejść.
–To może potrwać nawet dwa dni – odparł Parys – niektóre watahy mogą dopiero dochodzić.
–Wiem – zamyślił się Vox – Ale samotność dobrze Ci zrobi. To konieczne, abyś przygotował się do nowego życia. O nas się nie martw. Teraz potrzebujemy czasu na próby.
Wadera zebrała szczenięta razem, po czym głośno zaintonowała zbiorowe śpiewanie hymnu czarnej watahy. Małe zaczęły wydobywać z siebie różne dźwięki. Zamiast jednej harmonijnej muzyki słychać było nieskoordynowane wycie w różnych tonacjach.
–No cóż – ojciec zwrócił się do Parysa – im też potrzeba czasu. Musimy poćwiczyć techniki wydobywania głosu. Powodzenia – spojrzał na syna i dołączył do grupy.

***

Parys wolnym truchtem schodził ze zbocza. Po godzinie zatrzymał się i spojrzał na Mount McKinley. Olbrzymi, śnieżny masyw wyglądał groźnie.
–Czy dam radę? – pomyślał. Doskonale wiedział, że założenie własnej watahy to duża odpowiedzialność, a na nią nie był jeszcze gotowy. Ale czy mógł żyć

inaczej? Gdzieś głęboko przepełniała go tęsknota za innym światem, którego niestety nie znał. A życie zdawało się wymuszać na nim kolejne etapy i pchać w kolejny, których pragnął uniknąć.

–Nie myśl tyle – usłyszał nagle za swoimi plecami – bo Ci dzieci podrzucą.

–Co takiego? – odwrócił się gwałtownie. Na dużym, płaskim kamieniu stała średniej wielkości wilczyca. Miała czerwonawą sierść, która zdawała się błyszczeć ogniem w świetle słońca. Parys drgnął na jej widok.



–Idziesz nad jezioro *Wonder*? – zapytała.
–Tak – odparł – badam okolice.
–Jestem Sara – powiedziała wilczyca i podeszła bliżej – rasa iberyjska.
–Nie widziałem jeszcze wilka tej rasy.
–To zagrożony gatunek – odparła obchodząc go wokół. – Na półwyspie Iberyjskim pozostało nas zaledwie dwa tysiące. Jesteśmy nieco dziwne. Preferujemy życie samotne lub w parach. Rodziny tworzymy, gdy urodzą się szczenięta. A Ty? – spojrzała na Parysa. – Wilk szary o czarnej barwie?
–Wilk kanadyjski – przeszył ją wzrokiem.
–O czym tak myślałeś? – zapytała, nie spuszczając go z oczu.
–Czy dam radę wejść na Mount McKinley – odpowiedział natychmiast, jakby rzeczywiście zastanawiał się nad tym.
Odwróciła głowę i spojrzała na ogromną, śnieżną górę.
–Po co chcesz tam wchodzić?
–Żeby zobaczyć cały świat, a potem uciec na jego koniec.
–Aby Cię nikt nie zmuszał do niczego?
–Skąd wiesz?
–Cóż – westchnęła – znam te koleje. – Pójdę, więc z Tobą – dodała.

Parys zawahał się przez chwilę.
–Co jest? – wyczuła ten moment. – Chciałbym, ale nie mogę? – zadrwiła.
Obruszył się. Ta wilczyca zaczęła go intrygować. Nie była wyważona jak matka ani pokorna jak inne wadery, przygotowywane do życia w stadzie. Miała w sobie pewną dzikość i tajemniczość, które go pociągały. Ale z drugiej strony ta wyniosła i zarozumiała postawa denerwowała go coraz bardziej.
–A Tobie też się spieszy na koniec świata? – zapytał buńczucznym tonem.
–Koniec świata jest na biegunie północnym – powiedziała po chwili poważnie.
–Skąd wiesz?
–Rozmawiałam z wilkami polarnymi, które są w Anchorage.
–Co to za wilki? – zainteresował się
–Żyją na lodowatych terenach, w ekstremalnie niskich temperaturach. Mają bardzo grube futro i specjalną ochronę na łapach, żeby mogły łatwiej chodzić po śniegu i lodzie. No i są całkowicie białe. Jak chcesz możemy pobiec teraz do Anchorage i pogadać z nimi. Powiedzą, którędy iść.
Parys zatopił wzrok w Sarze.
–O czym ona mówi? – pomyślał. – Mam zostawić

wszystko i biec z nią na koniec świata? Przecież żartowałem. Z drugiej strony – rozważał – jest to pewna opcja. Może poznam inne życie. Popatrzył na nią jeszcze raz. Znowu siedziała na płaskim kamieniu i oglądała Mount McKinley. Kątem oka dostrzegła jego spojrzenie i podeszła.

–Co się stało? – zapytała, tym razem poważniej.

–Obiecałem ojcu, że rozpoznam teren. Czeka z watahą na moją odpowiedź.

–Więc zawyj teraz – odparła spokojnie – i powiedz mu, że idziesz ze mną do Anchorage. Przecież może wysłać na zwiady kogoś innego.

Parys oddalił się kilka kroków i zawył. Najpierw długo bez żadnych przerw, a potem dwa razy krótko. Po kilkunastu sekundach powtórzył i zamilkł. Echo roznosiło się po górach,a on miał



wrażenie, że przekazuje otchłani najważniejszą wiadomość swojego życia. Po chwili usłyszał odpowiedź ojca, a tuż po niej matki.

–Ruszamy – powiedział. – Pożegnałem się.

Szedł pewnym krokiem i był z siebie bardzo zadowolony. Przez krótką chwilę poczuł się ważny. Po raz pierwszy w życiu podjął decyzję, która nie była zgodna z wolą ojca. Wydawało mu się nawet, że stał się większy. Jego klatka piersiowa napełniła się powietrzem, a kręgosłup wydłużył o kilka cali. Wiedział, że to iluzja, ale mimo wszystko wyprostował sylwetkę i podniósł nieco głowę.

Zerknął na Sarę. Podążała wolnym truchtem, co jakiś czas zmieniając pozycję. Raz była przed nim, raz za nim, a czasami obok.

–Ładna jest – pomyślał. – Ciekawe, dlaczego chce stąd uciec? Nie znała go, a jednak zdecydowała się na długą podróż. A może zostaną już razem? – przemknęło mu przez myśl. Rozejrzał się dookoła. Jakiś ptak przeleciał pomiędzy koronami drzew i zrzucił na ziemię drobinki śniegu. Mieniły się w słońcu jak szlachetne kryształki. Miał wrażenie, że magia unosi się w powietrzu, a on rozpoczyna nowe, szczęśliwe życie.

–A teraz pożegnaj się z Denali Park – powiedziała Sara, gdy zobaczyła w oddali *George Parks Highway*,

główną autostradę prowadzącą do Anchorage.
–Myślisz, że tu już nie wrócimy? – zapytał niepewnie.
–Trzeba uciekać z Alaski – odpowiedziała – Nie słyszałeś? Za niedługo kłusownicy zaczną nas masowo wybijać. Już teraz w lesie porozkładali wnyki i potrzaski. Wczoraj mój brat wpadł w ich sidła – dodała smutno.
–I co z nim? – spojrzał na nią.
–Wykrwawił się nim go znaleźliśmy. Nie miał jeszcze roku.
Parys odwrócił się i jeszcze raz popatrzył na Mount Mckinley.
–Żegnaj diamencie – westchnął. – Już się pewnie nie zobaczymy.
–W pewnym sensie – powiedziała Sara z pewną melancholią. – Nie opuścimy tego miejsca. Wody lodowców płyną przecież do zatoki Cook, a my tam idziemy.
–Skąd Ty to wszystko wiesz? – zapytał Parys.
–Nauczyli mnie rok temu nad jeziorem *Wonder*.
–Byłaś tam? I nie znalazłaś swojej połówki?
–Swojej połówki nie szuka się nad jeziorem – sprostowała go natychmiast. – Ona sama nas znajduje. A my nie wiemy, gdzie i kiedy.



# Spis treści


**LIZBONA**

Fado ____ 10
Ucieczka ____ 34
Diametowy szlak ____ 49
Zeznania ____ 64
Koniec i początek świata ____ 78

**WILKI**

Alaska ____ 100
Ucieczka ____ 118
Śnieżny Rajd ____ 136
Wyznania ____ 154
Diamentowy szlak ____ 172


*Inne pozycje autorki z serii:* „W drodze do siebie”

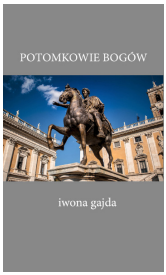


*Potomkowie Bogów*

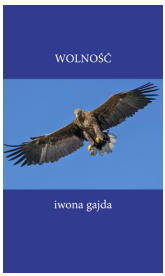


*Wolność*

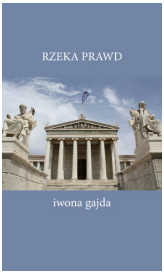


*Rzeka Prawd*

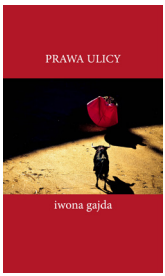


*Prawa Ulicy*

Dostępne na internetowych platformach sprzedaży:

Google Play ebookpoint.pl Legimi allegro

**Autostrada myśli**

*Nieważne.*

*Jeśli myśli spadną,*
*deszcz je ułoży na nowo.*
*Obok siebie, blisko.*
*Aby każda zlepiona miłością trwała.*

*Jak skała, zawsze,*
*pod Twoimi stopami.*
*Nie zapomnisz drogi. Ani serca,*
*które wplecione pomiędzy szczeliny tętni.*

*Nieważne, że tak.*
*Nijak dla Mnie i dla Ciebie.*
*Że wiatr i mróz obojętnie tańczą.*
*W naszym ogrodzie.*

*Ważne, że droga mocno ubita.*
*Po której chodzić można.*
*Do mnie i Ciebie.*
*Do naszego domu.*

*****

*Już słońce nuci melodię życia,*
*a wiatr tańczy na parapecie okna.*
*Czuję, że idziesz...*
*Kwiaty zerwałam,*
*w zapachu ich tonę.*
*Jeszcze chwila i zbiegnę do Ciebie.*



*Ja znaleźć szczęście, gdy brakuje jasnych drogowskazów? Serce i rozum walczą ze sobą każdego dnia o to, w którą iść stronę. A człowiek pogubiony w chaosie codziennych spraw zmienia miejsca zamieszkania, pracę, a czasem rodzinę. Czy o to chodzi? Sięgnij po książkę i przekonaj się.*

Patron medialny:

BPC GROUP

www.bpc–group.pl
www.bpc–guide.pl